

Biurokawiarnia

Obaj mieli wtedy serdecznie dość takiej pracy w geodezji. Mieli powyżej uszu oszukiwania oraz panującej w firmach atmosfery. Kombinowania, żeby pracować popołudniami wykorzystując państwowy sprzęt, niezauważania, jak panie w biurze w godzinach pracy wykonują prywatne roboty szefa, zawiści, gdy na liście płac ma się więcej niż inni, obmawiania za plecami, plotkowania na okrągło przez osiem godzin. Nie chcieli dłużej znosić decyzji kierownictwa, które robiły z inżynierów niewolników, urabiania opinii rozrabiaków ludziom domagającym się zmian w funkcjonowaniu firm i wreszcie dość mieli nędznych pieniędzy na koniec miesiąca.

Wiosna to okres ożywienia w interesach

dla budowlańców, meliorantów, geodetów, drogowców i tych wszystkich, dla których aura ma wpływ na wykonywanie zawodu. Tematy, które miały się zacząć jeszcze jesienią, a nie doszły do skutku z różnych przyczyn, zaczynają znowu żyć swoim życiem. Otwierają się zlecenia z budżetu, telekomunikacji, energetyki, z urzędów miast i gmin. Jest co załatwiać, uzgadniać, dogadywać, ustalać, przypominać, przekazywać.

Jeśli ci budowlańcy, melioranci czy też geodeci mają firmę, która stanęła już na cienkich kapitalistycznych nóżkach, to pewnie mają już i swoje biuro. Wynajęte dwa lub trzy pokoje, parę biurek, krzesła i szafę. Na ścianach obowiązkowo kilka map i kalendarz z rozebraną dziewczyną, żeby zakryć liszaje i dziury. Tutaj są u siebie. Tutaj załatwiają, uzgodnią, dogadają. Mogą działać. Jeśli jednak biura jeszcze nie mają, to muszą sobie radzić w inny sposób.

Bar kawowy w centrum miasta.

Godzina ósma z minutami.

Miałem umówione spotkanie w jednej z pobliskich firm, ale ponieważ ktoś nie dotarł na czas, spotkanie przesunęło się ponad godzinę. Kupiłem więc w pobliskim kiosku gazetę i wpadłem tutaj na kawę, by tę godzinę przeczekać.

Wpadłem do miejsca, które kiedyś dobrze znałem. Mijałem je codziennie w drodze do pracy. Jeszcze nie tak dawno było tu obskurnie i brudno, a poza niemiłosiernie słodką oranżadą i lurową kawą niewiele można tu było kupić. Jedyną atrakcją tego baru była piękna dziewczyna za ladą, chociaż urodę jej próbowano zabić koszmarnym „społemowskim” nylonowym fartuchem.

Dzisiaj - ekskluzywne wnętrza, zagraniczne stołki, gustowne oświetlenie, półki uginające się pod rządami kolorowych butelek.

Po prostu Ameryka!

Za ladą jest już inna dziewczyna, może nie tak ładna, ale za to w eleganckiej bluzce.

Takie bary mają swoją specyficzną klientelę. Jest ona zróżnicowana w zależności od usytuowania lokalu, jego kategorii, jak i od pory dnia. I tak, jeśli bar jest w sąsiedztwie biur czy też urzędów, to rano i przed południem wpadają tam urzędnicy. Niby na kawę, a tak naprawdę, żeby załatwić sprawy, których nie da się załatwić przy szefach lub pracownikach. Wpadają, żeby uzgodnić jakieś stawki lub stanowiska. Żeby dogadać cenę za wykonanie fuchy lub zakup używanego samochodu. A czasami, żeby zwyczajnie poplotkować.

W tym akurat lokalu rano ton nadaje młodzież z okolicznych liceów, urzędnicy pobliskich biur, grupa geodetów i projektantów oraz kilku stałych bywalców, zaczynających dzień od czegoś mocniejszego.

Nie musiałem długo czekać,

by spotkać trzech dobrych znajomych. Kiedyś pracowali wpaństwowych firmach. Geodeci z zawodu. Obecnie każdy pracuje na „swoim”. Dwaj z nich prowadzą wspólnie niewielką, bo kilkuosobową firmę, trzeci - prowadzi firmę z żoną i zatrudnia kilkanaście osób. Ci dwaj mają do przekazania szkic i obliczenia z fragmentu większej całości, którą ten trzeci robi na zlecenie zagranicznej firmy. Jeśli mają sobie coś do powiedzenia w ciągu dnia, to umawiają się właśnie tutaj. Środek miasta jest dla każdego z nich wygodny.

Zadanie, jakie teraz mają wspólnie wykonać, jest proste, ale pilne. Rozmowa między nimi trwa krótko i padają same konkrety. Pracują w branży od lat, więc wiedzą, co jest ważne, a co nie. Po kilku minutach ten trzeci zbiera do teczek papiery i wychodzi, ma już umówione spotkanie na jakiejś budowie.

Przysiadam się do tych dwóch,

którzy pozostali. Nie widzieliśmy się od dość dawna, jest więc o czym pogadać. Prowadzą swój niewielki interes od dwóch lat. Wcześniej pracowali w różnych firmach. Pierwszy z nich zrezygnował z państwowej posady, gdy p o koniec roku okazało się, że nadwyżka pieniędzy, jaką wy-

pracowała jego pracownia w ciągu roku, nie zostanie wypłacona pracownikom - bo popiwek, bo potrzeby firmy, bo idą ciężkie czasy, bo rozwój itd. W sumie, jak sobie obliczył, wyszło na to, jakby w ciągu roku dwa miesiące pracował za darmo.

To przeważało szalę.

Drugi - widząc, że jego przedsiębiorstwo nie ma zleceń i powoli wyprzedaje sprzęt - postanowił uprzędzić los i nie czekać, aż poprosi go smutny pan z kadr. Wolał, by przyjemność była po jego stronie.

Obaj mieli wtedy serdecznie dość takiej pracy w geodezji. Mieli powyżej uszu oszukiwania oraz panującej w firmach atmosfery. Kombinowania, żeby pracować popołudniami wykorzystując państwowy sprzęt, niezauważania, jak panie w biurze w godzinach pracy wykonują prywatne roboty szeffa, zawiści, gdy na liście płac ma się więcej niż inni, obmawiania za plecami, plotkowania na okrągło przez osiem godzin. Nie chcieli dłużej znosić decyzji kierownictwa, które robiły z inżynierów niewolników, urabiania opinii rozrabiając ludziom domagającym się zmian w funkcjonowaniu firm i wreszcie dość mieli nędznych pieniędzy pod koniec miesiąca.

Zaczynali z jednym starym teodolitem

i jednym niwelatorem, mając małe zlecenie na półtora miesiąca pracy. W ciągu ostatniego roku wartość sprzedaży ich niewielkiej firmy osiągnęła ponad miliard starych złotych.

Nie narzekają, ale też nie liczą godzin pracy. Poza pieniędzmi mają tę satysfakcję, że nikt im niczego nie każe, a pod koniec roku nikt im nie powie, że pieniądze co prawda zarobili, ale ich nie dostaną. Po prostu nikt ich nie oszuka w majestacie prawa.

Jeśli coś im nie wyjdzie, to pretensje będą mogli mieć tylko do siebie.

Rozmawiamy długo. Większość z naszych wspólnych znajomych pracuje teraz we własnych firmach. Najczęściej to branża geodezyjna, chociaż są tacy, którzy postawili np. na handel. Wielu wylądowało na intratnych posadach w urzędach.

W starych firmach zostało niewiele.

Z reguły są to ci, którzy nic w swoim życiu nie chcą zmienić, a być może nie mieli odwagi tego zrobić albo jest im dobrze tak jak jest.

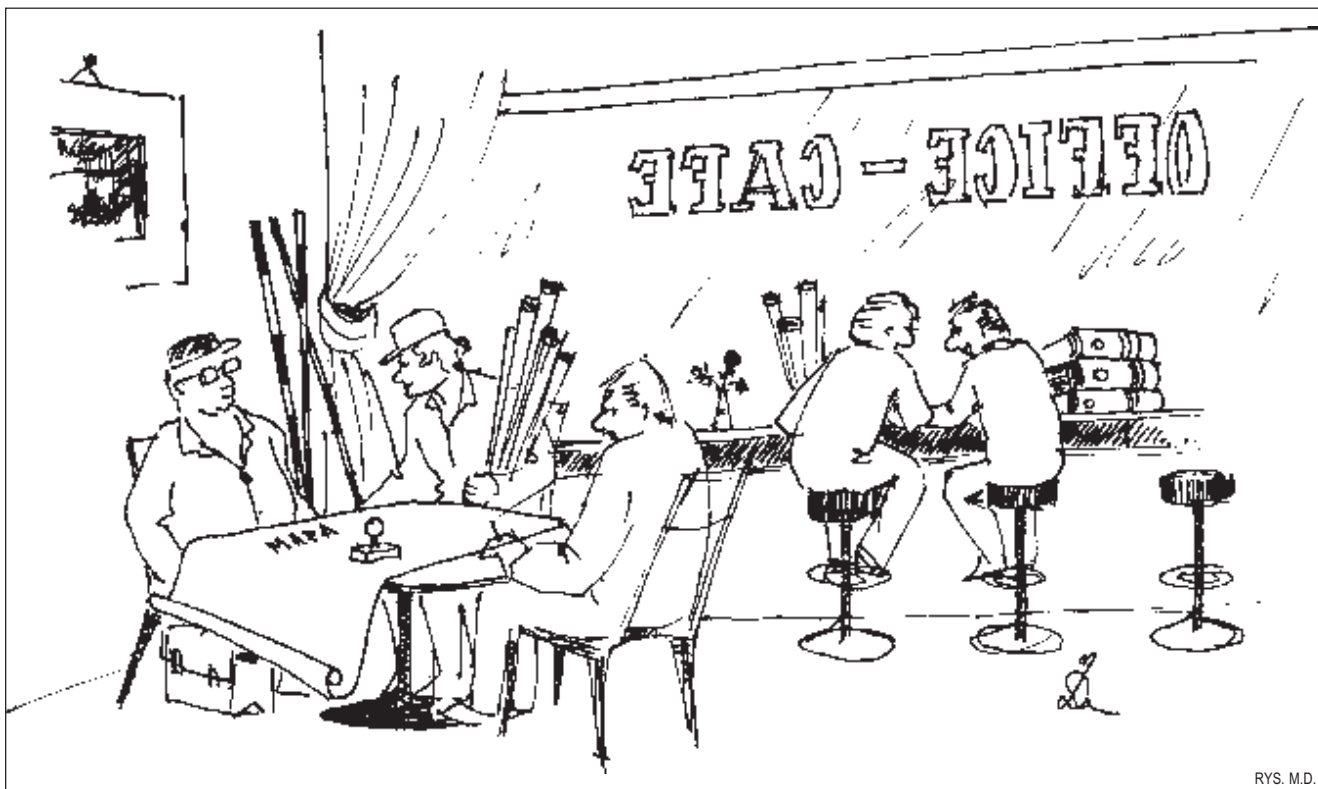
Po prawie godzinie pożegnałem się z moimi znajomymi. Jak widać, nie mają jeszcze biura, nie stać ich na nie. Spotykają się więc w swoich mieszkaniach lub tutaj. Może w przyszłym roku wynajmą gdzieś jeden pokój z telefonem i zatrudnią dziewczynę do pomocy.

Gdy wychodziłem, zauważyłem siedzącego pod ścianą znajomego z urzędu miasta. Poślaliśmy sobie zdawkowe „dzień dobry”. W drzwiach minąłem następnego człowieka z „branży”. Kiedyś był szefem geodezji w jednej z dzielnic. Teraz prowadzi własną firmę. Kątem oka zobaczyłem, jak usiadł przy tym z urzędu miasta i zaczął szybko wyjmować papiery z teczki.

Ten też jeszcze nie ma biura - pomyślałem. A przecież trzeba gdzieś załatwić, uzgodnić, dogadać...

J. Borkowski

OD REDAKCJI: Opowiadanie przesłane przez Czytelnika tak nam się spodobało, że postanowiliśmy zamieścić je w GEODECIE. Zapraszamy kolejnych twórców do współpracy.



RYS. M.D.